ŚWIATŁO

Rok VIII. Bytom G.-Szl., 15-go Kwietnia 1894. **Nr. 8.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

KSIĄŻĘ I ŻEBRAK.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Przykląkł na jedno kolano i mówił: — Dotąd moje skromne usługi są bez znaczenia i wartości, dopełniłem tylko, Sire, powinność poddanego. Jeśli jednak łaska waszej królewskiej mości chce je nagradzać, to ośmielę się wyrazić prośbę. Jak to zapewne wiadomo Waszej Miłości, panowały wielkie niezgody przed czterystu laty między królem Anglii Janem a królem francuskim. Postanowiono, aby sprawę rozstrzygnął pojedynek dwóch wojowników stoczony publicznie, a Anglika czy Francuza zwycięztwo będzie uznane za sąd Boży. Obadwaj panujący, i król hiszpański z nimi, mieli być świadkami i sędziami pojedynku. Gdy francuski wojownik wystąpił, wyglądał tak groźnie, tak ogromnie zdawał się silnym, że żaden z angielskich rycerzy nie śmiał wystąpić do boju, ogromnej odpowiedzialności wziąść na siebie. Wtenczas przypomniano królowi Janowi lorda Courcy, najsilniejszego, najbardziej rycerskiego męża w Anglii, ale który, ciężko oskarżony, miał sobie odjęte zaszczyty i godności i zamknięty był w Towrze. Zapytano go więc, czy onby się podjął walki; chętnie na to przystał. Gdy uzbrojony wystąpił na pole pojedynku, gdy przeciwnik ujrzał bohaterską jego postać, usłyszał nazwisko z dawna rozsiewające trwogę, stracił wszelką odwagę i uciekł. Król Jan nie tylko powrócił rycerzowi, wszystko, co on był utracił, ale niezadowolony tem, zawołał: — Żądaj, choćby połowy mego królestwa a będzie twoje. — Klęcząc jak ja teraz, odpowiedział Courcy: — Panie mój, udziel mnie i moim potomkom szczególnego przywileju, aby nam wolno było w obecności władzcy nakrywać głowę, jak długo królowie są w Anglii. Wasza Miłość wie, że jeszcze dotąd każdy naczelnik tego rodu ma wolność w obecności króla okrywać głowę kapeluszem lub hełmem. Na to się odwołując, proszę króla w nagrodę, by pozwolił mi łaskawie, jako też i moim potomkom, w obecności króla Anglii siedzieć.

— Powstań rycerzu, Milesie Hendonie, — rzekł poważnie młody król,

dotykając się ramion klęczącego jego mieczem. — Powstań z kolan i usiądź. Jak długo którykolwiek władzca Anglii nosi koronę, przywilej twój będzie trwał.

W zamyśleniu przechadzał się król po izbie tam i nazad; Miles zaś usiadł przy stole, rad z swego pomysłu.

— Doskonale mi się udało, — rzekł sam do siebie. — Doprawdy, dłużejbym był nie wytrzymał. Już i tak bolą mnie nogi. Gdybym był tak sobie nie poradził, to może całe tygodnie musiałbym stać, dokądby biedny ten chłopak nie odzyskał rozumu. Tak więc zostałem rycerzem w państwie snów i cieniów. Szczególne stanowisko dla tak prozaicznej natury, jak ja jestem! Niech mnie Bóg zachowa jednak, bym się wyśmiewał z biedaka, który to wszystko ma za prawdę. Dziwnie zajmujące są przytem te objawy pełnego dobroci, wspaniałomyślnego ducha. które tak są u niego wyraźne. No, spodziewam się, że przy obcych nie będzie mi dawał mego nowego tytułu, który nie bardzo się godzi z dotychczasowymi moimi losy i obecną biedą. Lecz mniejsza o to! Niech mnie nazywa jak sam chce, jeśli on zadowolony, to i ja także.

Książę znika.

Obadwaj towarzysze czuli się zmęczeni. Sen kleił im powieki.

— Zdejm ze mnie te łachmany, — rzekł król, wskazując na swą odzież.

Hendon posłusznym był w milczeniu. Ułożył chłopca w swe łóżko i okrył starannie. Potem oglądnął się po pokoju, zapytując siebie w duchu:

— Znowu zajął moje łóżko — a cóż ja z sobą zrobię?

Młody król spostrzegł prawdopodobnie jego zakłopotanie i położył mu koniec. Śpiącym głosem rzekł:

— Ty się połóż przed drzwiami, aby je strzedz. — Poczem zapadł w sen głęboki, bez marzeń, który mu pozwolił zapomnieć o wszystkich cierpieniach.

— Kochany dzieciak! — szepnął Hendon, — szkoda, że się w istocie nie urodził na tronie, gdyż wybornie umie grać rolę króla. — Wyciągnął się pod drzwiami i rzekł znowu do siebie, zadowolony: — Podczas siedmiu lat więzienia o wiele gorzej sypiałem. Uskarżać się teraz byłoby niewdzięcznością względem Boga.

Dzień już szarzał, gdy usnął. Koło południa wstał, podniósł ostrożnie kołdrę, pod którą chłopiec spał, i wziął mu miarę tasiemką. Zaledwie dokończył, król się zbudził, uskarżając się na zimno i zapytując go, co on robi właściwie.

— Już skończyłem, miłościwy panie, — zapewnił Hendon. — Muszę teraz wyjść coś załatwić, ale wkrótce wrócę. Spij dalej, panie mój, potrzebujesz snu. Pozwól się nakryć lepiej, tak, teraz ci będzie cieplej.

Nim dokończył tych słów, młodziutki król już spał znowu głęboko. Po cichu wysunął się Miles z pokoju i powrócił równie cicho w pół godziny później. Przyniósł z sobą całkowite dla chłopca ubranie, nie zupełnie nowe, ale z trwałej, ciepłej materyi i dobrze jeszcze zachowane. Oglądając uważnie swe kupno, mówił znowu do siebie, widocznie przyzwyczajony do tego samotnością długiego więzienia.

— Z pełnym workiem byłbym dostał coś lepszego: ale w nim mało co jest, trzeba się więc do tego zastósować. On się rusza, zdaje mi się. Nie trzeba głośno mówić. Biedny chłopak, taki wysilony, a my mamy długą przed sobą drogę, niech się wyśpi. Ta odzież jeszcze jest przyzwoita, prawda, że tu i owdzie trzeba będzie coś poprawić, parę ściegów się przyda. Obuwie jest jeszcze mocne i utrzyma jego małe nóżki sucho i ciepło: może mu będzie niewygodne, prawdopodobnie boso musiał dotychczas chodzić. Gdyby to chleb był tak tani jak nici; za grosz dostałem ich więcej, niż przez rok będę potrzebował, i tę piękną, grubę igłę dostałem w dodatku... Gdybym tylko mógł ją nawlec. Do licha z tą robotą!

W istocie nawleczenie igły trudnem okazało się zadaniem, zwłaszcza iż trzymał ją końcem do góry a uszkiem na dół. Ale Hendon był wytrwały, przy-

pominał sobie, iż nawlekał i szył będąc żołnierzem i zwyciężył wreszcie cierpliwością. Wziął odzież w ręce i począł naprawiać.

Znowu półgłosem mówił do siebie.

— Rachunek u gospodarza już zapłaciłem wraz z dzisiejszem śniadaniem i zostało mi tyle pieniędzy, że mogę kupić dwa osły i pokryć konieczne w drodze wydatki, nim za dwa lub trzy dni staniemy w krainie dostatku, w Hendon-Hall.

— Ona kochała mię, — począł nucić. — Boże mój! znowu igłą ukłułem się głęboko pod paznokieć. No, mniejsza o to... nie jest to dla mnie nic nowego, ale i nic przyjemnego. Nie długo już skończy się ta moja praca i bieda... Jakież ogromne porobiłem ściegi! — Podniósł odzież w górę i przypatrywał jej się, podziwiając swe dzieło. — Doprawdy, przy takich pięknych i okazałych ściegach, drobne krawieckie wyglądają nędznie i pospolicie. Już teraz skończyłem, pyszna moja robota i bardzo prędko dokonałem jej. Teraz muszę go zbudzić, ubrać, umyć, nakarmić i pójść z nim do Southwarku, do oberży... Pozwoli pan mój miłościwy! Nie słyszy, muszę się dotknąć jego poświęconej osoby. Hola, co to jest?

Odrzucił kołdrę, chłopca nie było w łóżku, zniknął. Oniemiały ze zdumienia, oglądnął się Miles w około, i spostrzegł, że niema i żebraczego okrycia jego ulubieńca. Gniewnie zawołał na gospodarza, gdy wszedł właśnie służący ze śniadaniem.

— Gadaj mi zaraz, albo przyszła twoja ostatnia godzina! — wrzasnął na służącego, który przerażony przemówić nie mógł. — Gdzie jest chłopiec, co się z nim stało?

Z drżeniem odpowiedział zapytany:

— Zaledwie pan wyszedłeś z domu, przybiegł tu jakiś młodzieniec i powiedział, że pan go przysłałeś, żądając, żeby chłopiec poszedł do pana do Southwarku. Wprowadziłem go tutaj, on zbudził chłopca i powiedział mu zlecenie od pana. Towarzysz pański nie rad był, że go budzą tak wcześnie, powiedział, że stósowniej byłoby, gdybyś pan sam do niego przyszedł, nie zaś kogo innego posyłał, ale się zebrał prędko i poszedł z obcym, i... i...

— I ty głupcem jesteś, którego nie trudno oszukać. Powiesiłbym cię na szubienicy! Może jednak dotąd nic się złego nie stało, może nic chłopcu nie zrobiono. Spieszę zaraz za nim. Tymczasem nakryj do stołu. Czekaj! Kołdra była tak ułożona, jak gdyby ktoś był pod nią. Czy to przypadkiem?

— Nie wiem, panie; ale widziałem, że ten obcy coś koło niej robił!

— Do dyabła, uczynił to, żeby mnie oszukać i zyskać na czasie. Czy sam tu był?

— Zupełnie sam, panie.

— Jesteś pewny tego?

— Najpewniejszy.

— Pójdźno po rozum do głowy, i pomyśl, czy pod zajazdem kto drugi nie czekał.

Służący pomyślał chwilę i rzekł:

— Przyszedł tutaj sam, ale przypominam sobie, że człowiek podejrzanie wyglądający wyszedł nagle z jakiegoś zakąta, gdy obadwaj szli mostem, i zbliżył się do nich.

— Cóż dalej, mów! — zawołał Hendon niecierpliwie.

— Zniknęli mi w tłumie i już ich nie widziałem. W tejże samej chwili zawołał mnie pan mój i złajał; gniewał się, iż zapomniano, że pisarz zamówił porcyę pieczeni baraniej. Ja, oczywiście, tak temu byłem winien, jak nowonarodzone dziecię, klnę się na wszystkich świętych, ale...

— Precz ztąd, głupcze! Twoje gadulstwo do waryacyi mnie przyprowadza. Czekaj! Gdzie spieszysz? Czy nie możesz chwili postać spokojnie? Czy oni obadwaj poszli do Southwarku?

— Z pewnością, panie. Co się zaś tyczy owej baraniej pieczeni, to dziecko nowonarodzone nie może być niewinniejszem...

— Jeszcześ tutaj, jeszcze pleciesz? Idź precz, bo inaczej zaduszę cię.

Sługa umknął. Hendon także zbiegł ze schodów tak szybko, że po dwa stopnie naraz przeskakiwał.

— Z pewnością zrobił to ten hultaj, który pierwej utrzymywał, że malec jest jego synem, — mówił do siebie. — Utraciłem cię, moje biedne, obłąkane dziecię, o jakże gorzka jest ta myśl właśnie, kiedyś mi się stał bardzo drogim. Nie, na Boga, ja cię muszę odnaleść, choćbym miał przeszukać całą Anglię. Nie, biedne dziecię, nie wyrzeknę się ciebie... muszę się spieszyć. Śniadanie nasze niech tam szczury jedzą, i tak straciłem apetyt.

Szybko przesuwał się pośród tłumu gwarzącego i hałasującego na moście. A idąc mówił jeszcze w duszy, na pół uśmiechając się:

— Był nierad odchodząc, myśląc, że Miles Hendon każe go wołać do siebie, ale poszedł na moje wezwanie. Mój drogi chłopiec! Do kogo innego byłby tak nie poszedł, to wiem.

Król umarł — niech żyje król!

Tego samego dnia Tom Kanty nad ranem obudził się z głębokiego snu. W około było jeszcze ciemno. Leżał chwilę w milczeniu i usiłował uporządkować, rozjaśnić własne pomięszane myśli i wrażenia, potem zawołał pół głosem, ale wesoło:

— No, teraz już mi rzecz jasna! Dzięki Bogu obudziłem się. Troski i przymus odchodzą, swoboda wraca. Słuchajcie, Nana i Betty, wyleźcie trochę ze słomy i przyjdźcie tutaj, opowiem wam sen tak szalony i długi, że może jeszcze nigdy takiego nie zesłały duchy nocne żadnemu ludzkiemu dziecku... Nana, Betty! gdzie jesteście!

Postać jakaś stanęła przy nim, a głos uniżony zapytał:

— Czy raczysz udzielić mi swoich rozkazów, miłościwy panie?

— Moich rozkazów? O Boże, ten głos znam. Powiedz: kim jestem?

— Wczoraj wieczór byłeś, panie, księciem Walii, dziś jesteś królem Anglii, Edwardem, moim najjaśniejszym panem.

Tom ukrył głowę w poduszki i z żalem wyrzekł:

— Więc to nie był sen! Idź spać, mój przyjacielu, zostaw mnie z moim smutkiem.

Znowu zasnął i miał sen, który go uszczęśliwił. Wydawało mu się, że jest lato i on bawi się na łące, zwanej Goodmana. Nagle ukazał mu się karzeł zaledwie na stopę wysoki z czerwoną brodą i wielkim garbem.

— Szukaj w ziemi pod tym pniem drzewa, — rozkazał. — Tom usłuchał i znalazł nowe całkiem, świecące się fenygi, było ich dwanaście, istne bogactwo. Lecz nie koniec na tem, karzeł mówił dalej: — Ja cię znam dobrze, jesteś uczciwym chłopcem i od trosk twoich będziesz wkrótce wolnym. Szukaj tu w ziemi każdego siódmego dnia, a wygrzebiesz zawsze taki sam skarb: dwanaście nowych fenygów. Milcz tylko, strzeż dobrze tajemnicy!

Karzeł zniknął. Tom zaś pobiegł ze swem bogactwem do Offal-Court i myślał po drodze:

— Odtąd dam ojcu co dzień jednego fenyga; będzie myślał, że go wyżebrałem, będzie rad z tego i przestanie mnie bić. Jednego fenyga tygodniowo musi otrzymać dobry nauczyciel, który mnie uczy; matka, Nana i Betty podzielą resztę między siebie. Już nie będziemy głodowali, przyodziejemy się lepiej i od trosk i razów będziemy wolni.

Ciągle we śnie, biegł bez tchu do domu i z błyszczącem okiem, zmęczony pospiechem, wpadł do nędznej izdebki, rzucił matce cztery fenygi na kolana i zawołał:

— Matko, to dla ciebie i dla Nany i Betty. Ja te pieniądze uczciwie pozyskałem, nie ukradłem ich, ani wyżebrałem.

Zdziwiona i uradowana matka przycisnęła go do serca zapytując...

— Już jest późno, czy zechce wasza królewska mość wstać?

Ach, nie takiego oczekiwał on pytania! Sen jego zniknął, Tom obudził się. Gdy oczy otworzył, obaczył klę-

czącego przed swojem łóżkiem pierwszego szambelana w świetnem ubraniu... zniknęła zaraz wszystka jego radość, którą go mylny sen złudził. Biedny chłopak pojął, że nie przestał być więźniem. Komnata zapełniła się do połowy dworzanami; wszyscy mieli na sobie niebieskie płaszcze, gdyż wówczas kolor niebieski żałoby był oznaką. Wyżsi słudzy królewscy byli także na swojem stanowisku, a Tom z obawą patrzył przez jedwabne firanki łóżka na to świetne zgromadzenie.

Teraz rozpoczęła się ważna sprawa ubrania króla: każdy dworzanin w tym czasie, jeden po drugim klękał przed małym królem, wynurzał mu swoją cześć oraz żal nad poniesioną stratą. Zaraz z początku podano koszulę naczelnemu koniuszemu, on ją oddał wielkiemu łowczemu, ten drugiemu szambelanowi, będącemu na służbie, od którego otrzymał ją znowu zwierzchnik losów Windsoru. Potem przeszła przez ręce trzeciego szambelana, kanclerza księztwa Lankaster, namiestnika Towru, lorda-marszałka dworu, wielkiego szambelana, lorda-admirała angielskiej floty, aż wreszcie doszła rąk pierwszego szambelana, który ją na Toma włożył. Biednemu dziecku przypomniało się, jak przy pożarze podają jedni drugim wiadra z wodą.

Przy nałożeniu każdej części ubrania zachowywano tęż samą uroczystą formę, a biednego Toma nudziło to i męczyło. Rad był, gdy jego jedwabne pończochy odbyły już całą drogą sądząc, że wyzwolenie wkrótce nastąpi. Nadzieja ta go zawiodła. Już pierwszy szambelan miał pończochy w rękach i chciał je nałożyć na nogi Toma, gdy naraz zbladł i w tejże chwili poczerwieniał znowu. Z ździwionym wzrokiem szepnął poważnie:

— Proszę patrzeć, milordzie, — i oddał pończochy nazad; na pół rozpaczliwie, powtarzając też same słowa, podawali je sobie wysocy dygnitarze przepisaną koleją, aż wreszcie doszły do wielkiego koniuszego, który blady śmiertelnie zawołał z przestrachem:

— Dla Boga... u pończochy jego królewskiej mości jedno oczko sprute. Do Towru z szatnym!

Zmęczony oparł się wielki koniuszy na ramiona wielkiego łowczego, aż wreszcie przyniesiono inne pończochy.

Każda rzecz jednak ma swój koniec i Tom Kanty po jakimś czasie wyszedł z łóżka. Przeznaczony do tego dworzanin nalał w miednicę i podał mu wody do umycia, inny gąbkę i mydło, trzeci ręcznik i nareszcie dostał się Tom w ręce królewskiego fryzyera. Gdy ten mistrz dokonał swego dzieła, gdy ubrano Toma w suknie i płaszczyk z niebieskiego atłasu i nałożono mu czapeczkę z długiemi piórami, wyglądał strojnie jakby dziewczynka. Poprowadzili go potem panowie do śniadania, a każdy, koło kogo przechodził, idąc przez pokoje, zginał przed nim kolana.

Po śniadaniu udał się, poprzedzony wszystkimi wysokimi dostojnikami, otoczony przyboczną gwardyą, złożoną z pięćdziesięciu szlachty, do sali tronowej, aby tam załatwić ważne sprawy państwa. Lord Hertford, jego »wuj,« stanął koło tronu, aby młodemu królowi pomódz radą, jeśliby tego potrzeba.

Najpierw weszli dostojni mężowie, których zmarły król wyznaczył wykonawcami swego testamentu. Prosili, aby Tom potwierdził rozporządzenie, jakie przedsięwzięli,— wówczas jeszcze nie było lorda-protektora państwa. Arcybiskup Kanterburyjski odczytał postanowienia tyczące się wspaniałego pogrzebu zmarłego króla i zakończył wymienieniem nazwisk wykonawców testamentu. Byli nimi: Arcybiskup kanterburyjski, lord-kanclerz, William lord St. John, John lord Rupel, Edward hr. Hertford, John wicehrabia Lisle, Kuthbert, biskup Durhamski.

Tom od dawna już nie słuchał, bo myślał o jednej rzeczy w sprawozdaniu wcześniej przeczytanej, która mu była niezrozumiałą. Zwrócił się teraz do lorda Hertforda i zapytał po cichu:

— Którego dnia ma być pogrzeb?

— 16-go przyszłego miesiąca, najjaśniejszy panie.

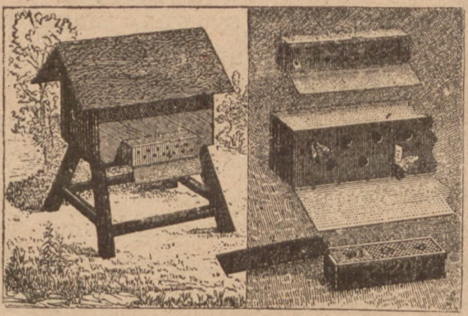
— To nie mądrze! Po co tak długo odkładać?

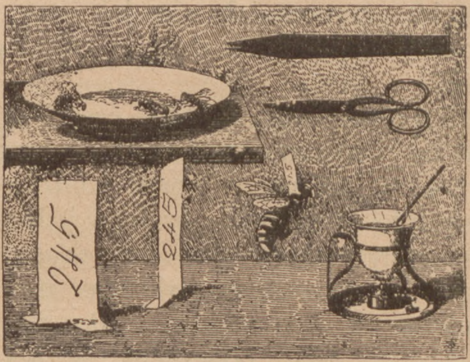
Zwyczaje dworu królewskiego były oczywiście obce biednemu chłopcu, który zawsze dotąd widział w Offal-Court, że pozbywano się jak najspieszniej zwłok zmarłych z mieszkania. Lord Hertford uspokoił go kilkoma słowy. (C. d. n.)

PSZCZOŁA-POSŁANIEC.

Zmyślność dostarczycielki miodu i wosku M. Teynac postanowił zużytkować w nieznanym dotąd kierunku: przyuczając ją do pełnienia obowiązków posłańca, w tym zakresie jak to uczyniono z psem, gołębiem i jaskółką. Próby udały się doskonale. Pracowity owad wykazał zdolności do tego rodzaju zajęcia; może pośredniczyć w zamianie wiadomości na odległość 4—5 kilometrów, a szybkość jego lotu wynosi 12 kilometrów na godzinę.

Pszczoły, przeznaczone na posłańców, Teynac hoduje w ulach pomysłu własnego; są to skrzynki lekkie, do których owady wchodzą przez otwory, w ścianie bocznej umieszczone. Gdy kto chce pszczoły użyć do posługi, przenosi rój w worze do swego mieszkania i trzyma owady w pokoju widnym, gdzie na talerzach znajduje się nieco miodu świeżo przetopionego. W razie potrzeby kreśli się depeszę na skrawku cienkiego papieru, który w jednym końcu jest zgięty i poprzecinany, tak żeby owo zgięcie stanowiło nóżki, na których skrawek można postawić. Następnie chwyta się pszczołę, podczas gdy jest zajęta spożywaniem miodu, szczypcami za skrzydełka, nóżki skrawka pociąga się roztworem żelatyny, przylepia się je do grzbietu owadu, pomiędzy skrzydełkami a łebkiem, wreszcie wypuszcza się tak obarczonego na powietrze. Uczuwszy się na wolności, pszczoła pospieszy do ula, ale wejść z depeszą nie będzie mogła, bo otwór ula ściśle jest zastósowany do jej wielkości. Usiłującą dostać się do schroniska łatwo można pochwycić szczypcami i zwilżywszy papier kroplą wody, odlepić depeszę. Rysunki nasze przedstawiają ul pomysłu Teynaca, pszczoły z depeszami i narzędzia do przylepiania.





Nie wiadomo, czy próby Teynaca znajdą zastósowanie w życiu praktycznem; dotąd są ciekawym dowodem zmyślności owadów a mianowicie ich pamięci i przywiązania do siedziby własnej.



POWRÓT JASKÓŁEK.

Jaskółeczki,
Kochaneczki,
Już-to do nas, już?
Z wami wiosna
Mknie radosna
Z za dalekich mórz.

Jaskółeczko,
Kochaneczko,
Powiedz, co ci brak?
Ujmiem sobie,
Damy tobie,
Boś ty dobry ptak.

Hej! ptaszęta,
Niebożęta,
Czas wam gniazdka wić,
Po staremu,
Po Bożemu
Snuć żywota nić.

Gniazdko psować,
Gdy budować
Zaczniesz, wielki grzech;
Wiosnę głosisz,
Szczęście wnosisz
Pod cień naszych strzech.

Boga sławić,
W słońcu pławić
Lśniących piórek blask,
Z ranną zorzą,
Z łaską Bożą
Witać dzienny brzask.

Czyć, kruszyno,
Lepiej płyną
Dni za morzem tam?...
Gdyś wróciła,
Ptaszko miła,
Witaj, witaj nam!

DNO MORSKIE.

Ile nam wiadomo, dno morskie bardzo jest podobne do lądu stałego. Ma ono wyżyny i równiny, doliny i łańcuchy gór. Nie jesteśmy w stanie widzieć dna morskiego z powodu zbyt wielkiej głębokości wody, ale opuściwszy na dno długi sznur, na końcu którego jest zawieszony ciężar, możemy się przekonać o głębokości wody i pewnych własnościach dna, np. poznać, czy ono jest skaliste czy piasczyste, czy się składa ze żwiru, z mułu czy z muszli. To mierzenie głębokości wody nazywa się sondowaniem (zgłębianiem), ciężar zaś przywieszony na końcu sznura sondą.

Sondowania robiono w wielu miejscach oceanu i dziś wiemy już cokolwiek o własnościach dna jego, ale dużo nam jeszcze poznać potrzeba. Najlepiej znane nam jest dno Oceanu Atlantyckiego. Sondowania, jakie robiono podczas przeprowadzenia liny telegraficznej, ułożonej na dnie oceanu między Anglią i Ameryką, wykazały głębokość wynoszącą 14500 stóp, co się równa przeszło 4 kilometrom. Ale sondowanie pomiędzy wyspami Azorskiemi i Bermudzkiemi przekonały, że głębokość morska dochodzi do 12 kilometrów.

Gdybyśmy mogli zdjąć góry Himalajskie, najwyższe na kuli ziemskiej, których wysokość dochodzi do 29 tysięcy stóp nad poziom morza, i postawić je na najgłębszem miejscu oceanu Atlantyckiego, to one nie tylko byłyby ukryte pod wodą, ale jeszcze ich wierzchołki znajdowałyby się około trzech kilometrów pod powierzchnią wody.

Po większej części głębokość oceanu wynosi około trzech kilometrów. Nie jest on jednak w każdem miejscu tak głęboki, gdyż nawet w pośród oceanu w niektórych miejscach dno jego wyniesione jest do samej powierzchni wody i tworzy wyspy. W ogóle można przyjąć za prawidło, że im dalej od brzegów, tem ocean jest głębszy, im bliżej zaś lądu stałego, tem woda jest płytsza. Dla tego to część oceanu, bliżej wysp i przylądków położona, jest stósunkowo najpłytsza. Na zachód od wyspy W. Brytanii leży wielki Ocean Atlantycki; na wschód zaś leży daleko mniejsze morze Północne. Pierwszy w niewielkiej odległości od lądu stałego jest bardzo głęboki, drugi nie dosięga największej głębokości nawet w środkowych częściach, które nigdy nie mają więcej nad 400 stóp głębokości.

Można bardzo łatwo pojąć, jakim sposobem uskutecznia się sondowanie, i można sobie wystawić, jak trudno to uskuteczniać sznurem mającym kilka kilometrów długości i opatrzonym ciężarem. A jednakże ludzie nie tylko umieli zmierzyć głębokość wody, ale jeszcze za pomocą oddzielnego instrumentu mogą wydostać na powierzchnią wszystko, co leży na dnie morskiem, nawet w najgłębszych częściach oceanu. Tym sposobem w ciągu ostatnich kilku lat zdobyto wiele nowych wiadomości o dnie morskiem i o tych gatunkach roślin i zwierząt, które tam żyją. Wiemy teraz, że nawet w najgłębszych miejscach, do których sięgała sonda, życie zwierzęce jest bardzo bogate, jest tam wiele muszli, korali, gwiazd morskich i innych zwierząt niższych.

Rozumie się, że nie możemy zbadać tak dokładnie dna morskiego jak powierzchnię lądu stałego; jednakże i o niem możemy się dowiedzieć bardzo wiele.

Jeśli sobie przypomnimy niektóre rzeczy, to sami możemy sobie wyrobić pojęcie o pewnych ważniejszych zmianach, zachodzących na dnie morskiem. Pomyślcie np. gdzie się podziewają wszystkie zwietrzałe skały, które corocznie giną z powierzchni lądu stałego. Uchodzą one do morza, za pośrednictwem rzek. Ale co się z niemi dzieje na dnie morza? Zwietrzałe te i rozłożone materyały z chwilą oderwania się od gór, wzgórz lub dolin wciąż dążyły

do zajęcia niższego poziomu. Gdy dosięgły dna morskiego, nie mogą już zejść niżej, ale koniecznie muszą się tam gromadzić.

Widocznem jest tedy, że pomiędzy dnem morskiem a lądem stałym zachodzi wielka różnica; mianowicie: ląd stały ulega ciągłym zniszczeniom na swojej powierzchni, począwszy od wierzchołków gór aż do brzegów morskich, gdy tymczasem dno morskie, przeciwnie, wciąż otrzymuje nowe materyały z powierzchni lądów. Dno morskie rośnie w stosunku do zmniejszania się powierzchni lądu stałego. Nie wiedząc nawet o tem, co znaleziono w morzu za pomocą sondowania, można z pewnością twierdzić, że na dnie morskiem corocznie osadzają się ogromne ilości żwiru, piasku i mułu; gdyż wiemy, że te materyały unoszą się do morza z powierzchni lądu.

Oprócz tego wiemy, że przyczyną ciągłych zaburzeń na morzu jest ruch powietrza, przyczyną niszczenia lądu stałego przez morze jest głównie działanie fal wytworzonych przez wiatr. Działanie to jednak ogranicza się tylko na powierzchni. Wpływ fal nie może się rozciągać na dno głębokiego morza. A zatem dna morskiego nie mogą się tyczyć te rozliczne zniszczenia, które zmieniają kształt lądów stałych. Materyały, pochodzące ze zniszczenia powierzchni, lądu spokojnie mogą leżeć na dnie morskiem i ulegają tylko nieznacznym zmianom, wywołanym przez spokojny ruch prądów morskich dochodzących do dna.

Zachodzi pytanie, w jaki sposób układają się na dnie masami żwir, piasek i t. d.

Ponieważ wszystkie te materyały pochodzą z lądu, łatwiej się więc zbierają na tych miejscach dna morskiego, które są bliższe lądu, aniżeli na miejscach bardziej od niego oddalonych. Powinniśmy napotkać groble piasku i żwiru na miejscach płytkich i blizkich lądu a nie w pośród głębokiego oceanu.

Możemy sobie w przybliżeniu zrobić pojęcie, jak się układają materyały na dnie morskiem, jeżeli będziemy obserwowali łożysko rzeki w czasie suszy. W tych miejscach, gdzie bieg był bystry, widzieć można groblę ze żwiru; w innych miejscach, w których prądy rzeki spotykały się ze sobą, znajdziemy kupę piasku przez to spotkanie naniesionego; gdy tymczasem w miejscach, gdzie prąd rzeki był najspokojniejszy, łożysko jej może być pokryte warstwą miałkiego mułu lub błota. Wiemy już o tem, że mętna woda odrzuca swój muł, gdy występuje ze swoich brzegów i rozlewa się na nadbrzeżne równiny, co się przyczynia do zmniejszania prędkości biegu rzeki.

Im bieg wody jest szybszy, tem większe kamienie może ze sobą unosić. Dla tego na dnie morza rzadko można znaleść gruby żwir, wyjąwszy miejsc blizkich lądu, gdzie fale mogą je wprowadzić w silne prądy morskie. Piasek unosi się znacznie dalej i układa się wielkiemi cienkiemi warstwami lub groblami. Miałki zaś muł może się unosić na setki kilometrów, zanim osiądzie na dnie morza.

Tak więc wziąwszy pod uwagę blizkość lądu stałego i siłę prądów morskich, piasek, muł i żwir, oderwane od lądu stałego, osadzały się na dnie morskiem wielkiemi warstwami i groblami.

Ale morze jest jeszcze bogate w życie roślinne i zwierzęce. Istoty te umierają a szczątki ich mięszają się z rozmaitymi materyałami, osadzającymi się na dnie morza. Tym sposobem oprócz piasku i mułu na dnie morskiem gromadzi się ogromna ilość ostryg, korali i twardych części innych istot morskich w miarę tego, jak jedno pokolenie ustępuje miejsca drugiemu.

Często się zdarza, że części dna morskiego zawierają pozostałości niektórych z tych istot w tak znacznej ilości, że te ostatnie tworzą grube i obszerne warstwy. Ostrygi np. rozrastają się grubemi warstwami a ich muszle wraz z muszlami innych podobnych istot tworzą tak zwane groble muszlowe.

W Oceanie Spokojnym i Indyjskim

niewielkie zwierzę, zwane polipem koralowym, wydziela dla siebie z wody morskiej twardy szkielet wapienny; ponieważ zaś miliony tych polipów żyje razem, tworzą więc kolosalne rafy twarde jak kamień, mające niekiedy jak np. wielka rafa baryerowa w Australii, kilkaset stóp grubości i przeszło 200 mil długości. W skutek wzrostu tych istot wytworzyły się wśród oceanu przeliczne pierścienie z kamienia koralowego, zwane wyspami koralowemi. Również, większa część dna Oceanu Atlantyckiego pokryta jest miałkim iłem, po zbadaniu którego okazało się, że pochodzi z pozostałości bardzo małych żyjątek, zwanych Foraminifera.

Tym sposobem na dnie morskiem wciąż gromadzą się ogromne ławice z piasku, mułu, oraz z pozostałości roślin i zwierząt. A zatem jeżeliby kiedykolwiek dno morskie podniosło się nad poziom morza i jeżliby piasek i muł wysechł i stwardniał tak, jak każda inna skała, tworząca góry, to moglibyśmy z pewnem prawdopodobieństwem powiedzieć, że one kiedyś znajdowały się na dnie morskiem, gdyż znaleźlibyśmy w nich muszle i inne szczątki zwierząt morskich.

ALCHEMIA I ALCHEMIŚCI.

(Ciąg dalszy.)

W następnym wieku zdobył sobie niepoślednią sławę wśród alchemistów Hiszpan Raymund Lullus, który całem swem życiem, pełnem głębokiej wiary i poświęcenia, dowodzi chyba również, że padł ofiarą złudzenia. Bo czyż podobna nazwać go oszustem, odsądzić od czci i wiary człowieka, który od swego 35-go roku życia aż do późnej starości znał tylko jeden cel w życiu, to jest rozszerzanie religii chrześciańskiej w Afryce, który niezaprzeczenie tylko dla tego uganiał się za złotem, aby mieć pieniądze na prowadzenie wojny krzyżowej przeciw niewiernym?! On to, kiedy żaden książę chrześciański nie chciał podjąć się tej wojny za pomocą złota alchemistycznego, sam jeden jako dziewięćdziesięciosiedmioletni starzec udał się do Algieru, aby tam głosić słowo Boże, i został za to przez Arabów ukamienowany, — i on miałby być oszustem? Przenigdy! Mimo swej niezwykłej uczoności, której sława rozbrzmiewała podówczas po całym świecie, ofiara to złudzeń!

Pierwszym wśród alchemistów, który miał widoczną korzyść materyalną ze swych zabiegów, jest Francuz Mikołaj Flamel. On upamiętnił się dwoma rzeczami: ogromnym majątkiem, którym ówczesny świat w podziw wprowadził, i pismami tak obrazowemi i niejasnemi, że ich dotąd nikt a nikt nie zdołał pojąć i wytłomaczyć.

Po nich dopiero na początku piętnastego wieku napotykamy znowu na alchemistę o większym rozgłosie. Jest nim Benedyktyn zwany z łacińskiego Basilius Valentinus. Ponieważ on pierwszy zwrocił uwagę na to, że miedź zawiera w sobie srebro a srebro znowu złoto, przeto trudno i u niego przypuścić, żeby się był dał uwieść złudzeniu, używając może nieczystych, to jest zawierających złoto substancyi; on sam z pewnością nie wychodził na oszukiwanie drugich, jego naukowość nie dozwala na podobne przypuszczenia.

Inaczej sądzić trzeba o alchemiście francuskim Le Cor, który pożyczywszy królowi francuskiemu wielkich sum na wojnę z królem angielskim, został wreszcie zamianowany ministrem skarbu. Na tem stanowisku uprawiał sztukę wyrabiania złota w sposób, jakiego i po nim niejednokrotnie używano, którego atoli uczciwym i alchemistycznym nie można nazwać. Wybijał oto monetę fał-

szywą, która nosząc na sobie znak królewskiej mennicy, tak długo była w biegu, dopóty się na niej nie poznano.

Tu znachodzimy po raz pierwszy w historyi alchemii najwyraźniejsze oszustwo i odtąd też alchemia przestaje być czystą nauką. Basilius Valentinus to ostatni alchemista, którego nazwisko wspomina się ze czcią w długim szeregu mężów prawdziwej nauki. Wprawdzie i później jeszcze uprawiał alchemią niejeden uczony, ale zajęcie to było tylko dorywcze, poboczne. Odtąd, jak już powiedzieliśmy, historya alchemii przedstawia się jako szereg mniej lub więcej udatnie dokonanych oszustw, choć i później zachodziły pozornie wypadki, które zdawały się dowodzić, że temu lub owemu udało się odnaleść wielki eliksyr.

Nie będziem się przeto zapuszczali w obszerniejsze opisywanie działalności i sztuczek następnych adeptów alchemii z wyjątkiem dwóch, którzy nas zkądinąd bliżej obchodzą. Niech nam będzie tylko wspomnieć, że między fałszywymi adeptami sztuki alchemistycznej była także cesarzowa niemiecka Barbara, wdowa po cesarzu Zygmuncie. Sztuka jej polegała na tem, że przez zeszmelcowanie miedzi i arszeniku otrzymywała metal białawy, który sprzedawała jako srebro, i że umiała dodawać do złota miedź i srebro. Srebro takie i złoto sprzedawała masami za granicę, mianowicie królowi angielskiemu, którego skarb był podówczas wiecznie pusty. Od tej chwili zaczęto się prawie równocześnie na dworach panujących zajmować tą cudowną nauką, mającą zapobiedz doskwierającej zewsząd biedzie, i uprawiano ją aż do ostatka. Każdy dwór miał swego alchemistę. Było to co prawda niebezpieczne stanowisko, bo niejeden książę, widząc bezowocność wysiłków swego alchemisty i rozgniewany nieustannymi wydatkami, straciwszy wreszcie potrzebną w takich razach cierpliwość, kazał swego nadwornego fabrykanta złota zawiesić na szubienicy, oblepionej złotym papierem — mimo to nie zbywało nigdy na awanturnikach, gotowych za kilka lat opływania w dostatki i honory narazić swe życie nawet na tak nieprzyjemną rzecz, jaką jest powieszenie na szubienicy! Przykład kilku szczęśliwców był zbyt ponętny, a zresztą przecież niejednemu udało się zemknąć w ostatniej chwili!

W szeregu takich awanturników nie brak także Polaków, z pomiędzy których jeden, szlachcic polski, zwany Sędziwój, zdobył sobie u współczesnych znamienitą sławę, którą właściwie zawdzięcza swemu mistrzowi, Szkotowi, zwanemu powszechnie Kosmopolita, którego nazwisko właściwe było Aleksander Setonius. Był to istotnie nadzwyczajny człowiek, mistrz całą gębą, bo gdziekolwiek się ukazał, — a podróżował bardzo wiele — wszędzie dawał dowody namacalne swej sztuki czarodziejskiej, a nigdzie nie zdołano mu udowodnić ani w przybliżeniu, że wychodzi na oszustwo. W Dreźnie wrzucono go nawet do więziennego lochu na rozkaz ówczesnego kurfirsta saskiego Krystyana, który się od niego domagał wyjawienia tajemnicy. Nie wahano się go nawet wziąć na tortury, a kiedy męczony Setonius nie zdradził ani słówkiem drogocennej tajemnicy, postanowiono go zatrzymać na zawsze w piwnicach więziennych. W tej to krytycznej chwili znalazł się przyjaciel, którego ani znał ani się spodziewał. Szlachcic polski Sędziwój, z łacińska podług ówczesnego zwyczaju Sendivogus zwany, zdołał wystarać się o pozwolenie odwiedzenia go w więzieniu, udając, że chce mu podstępnie wydrzeć tajemnicę, porozumiał się z nim i uwolniwszy go z więzienia, uwiózł po za granice niegościnnej Saksonii. Więzienie i tortury atoli wyczerpały siły Setoniusa do tyla, że krótko potem rozstał się z tym światem, pozostawiając w spadku swemu wybawcy znaczną ilość drogocennego proszku. Tajemnicę fabrykacyi eliksyru — jeżeli w ogóle była mu znana — zabrał natomiast ze sobą do grobu. Odtąd Sędziwój, jadąc rzemiennym dyszlem — wedle starego przysłowia — od stolicy do stolicy, wprawiał w podziw monarchów i książąt, także króla polskiego, w obec których przez

projekcyą zamieniał pospolite kruszce w złoto. Jeszcze dziś tablica marmurowa na zamku w Pradze daje świadectwo cudotworczości — że tak powiemy — polskiego alchemisty. Napis na niej brzmi: »Faciat hoc quispiam alius, quod fecit Sendivogius Polonus,« co się tłómaczy na polskie: »Niech to ktobądź inny uczyni, co uczynił Sędziwój Polak.«

Sława Sędziwoja trwała atoli tylko tak długo, dopóki mu jakiś wyrtemberski złotnik, Mühlenfels nazwiskiem, nie ukradł przedziwnej substancyi. Wprawdzie kradzież się wydała i Mühlenfels poszedł na szubieniczkę — bardzo naonczas ulubiony instrument do pozbywania się ludzi — ale sława Sędziwoja przepadła już na zawsze.

(Dokończenie nastąpi).

MIESZKANIA LUDZI OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW.

Obok potrzeby jedzenia i picia najbliższą potrzebą człowieka jest wypoczynek. Chociażby zatrudnienia jego były jak najprostsze, choćby wegetował tylko, to i tak potrzebna jest zmiana stanu, bo ciało się męczy i snu się domaga.

Już i roślina ulega czuwaniu i snowi. U zwierzęcia objawy te są wyraźne, a człowiek także całkiem się im poddaje. Jak nie można się odzwyczaić od jedzenia, tak samo i od spania. Spełniając atoli te wymagania przyrody, człowiek może zarazem pracować i na swoje uszlachetnienie.

Człowiek dziki żyjący w okolicy pokrytej bujnymi lasami albo też okolonej jednostajnymi brzegami, śpi tam, gdzie go zmęczenie z nóg zwali. Otaczająca go przyroda, stała, niezmienna, nie daje mu żadnego innego wyboru.

Dopiero gdzie zimno i długotrwające deszcze, połączywszy się z głodem i zmęczeniem, przywiodą człowieka do ostateczności, zaczyna on myśleć o miejscu wypoczynku, które następnie na miejsce mieszkalne zamienia.

Papagowie w lasach Ameryki Południowej robią doły w ziemi, w których śpią na noc; w zimie niecą w nich ogień a kładąc się spać wyrzucają węgle.

Ci ludzie nie znają jeszcze hamaku, który jest rozpowszechniony prawie we wszystkich krajach podzwrotnikowych, gdzie nie brak drzew do jego przytwierdzenia. Jest to siatka mająca około 2 metrów długości a 5 szerokości, którą zawiesiwszy w obu końcach między dwoma drzewami, otrzymuje się łoże bardzo wygodne. Nie dopuszcza ono do śpiącego żadnych płazów i chroni od wilgoci gruntu. Prosta skóra zwierzęca wystarcza do zrobienia sobie takiego łoża; ale ludy cokolwiek dalej posunięte w oświacie budują je ze sznurów i to wedle kunsztownych wzorów. Wielkie oka sieci pozwalają układać się tkaninie w postać ciała; a powstała ztąd niezmierna wygoda hamaku zapewniła mu wstęp do eleganckich domów wykształconego świata, choć naturalnie w formie bardziej wykończonej.

Pierwotnemi mieszkaniami są jaskinie w ziemi i skałach. Gdzie ich przyroda sama dostarcza, tam dzicy powszechnie z nich korzystają. Australczycy przy porcie Jackson nigdy nie potrzebowali budować sobie mieszkań, gdyż miękki, na działanie powietrza nadzwyczaj czuły piaskowiec, który w ich kraju się znajduje, w jamach swych może umieścić od 40—50 ludzi.

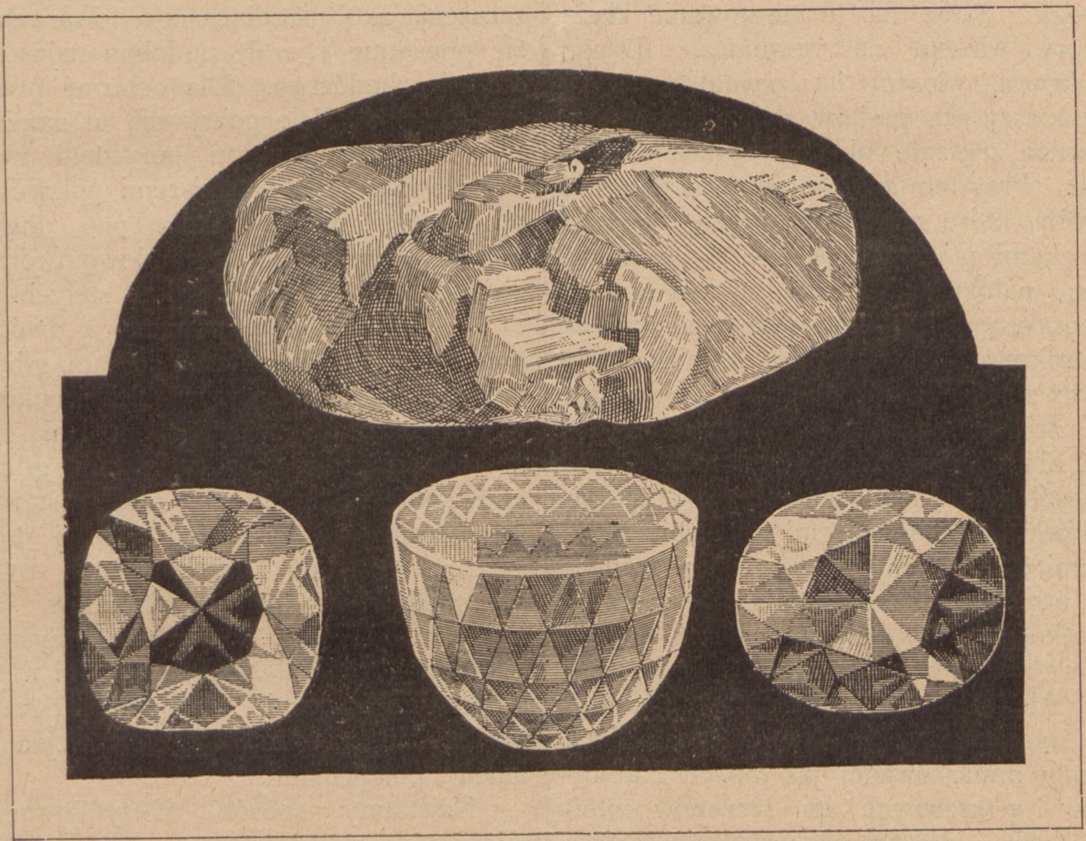
W ziemi Vandiemen mieszkańcy urządzali zasłony z palów, które wbijali w ziemię pionowo w półkole, a na to kładli korę drzewną. Pierwsze te próby mieszkań mają zwykle na celu ochronę od wiatru; ztąd nad brzegami morza

znajdujemy je pomiędzy wodą a koczowiskiem.

Podobne budy znajdujemy u wielu innych ludów, u Puryjczyków w Ameryce Południowej, w Afryce Zachodniej, u Czipiwejów i t. d. Mieszkania te zaspokajają jedynie potrzebę chwilową. Mieszkańcy opuszczają je, jeżeli głód zmusza ich do dalszego pochodu, albo też palą w razie wypadku śmierci. Ale w okolicach, gdzie przyroda nie wszędzie dostarcza potrzebnego materyału, koczownicy muszą zabierać z sobą potrzeby mieszkalne. To też w stepach bezleśnych, w pustyniach i na brzegach morza powstaje u koczowniczych ludów myśliwskich, rybołówskich i pasterskich dalsza forma mieszkań, namiot.

Trzy lub cztery mocne gałęzie, obu końcami wbite kabłąkowato w ziemię, stanowią rusztowanie, na które kładzie się skóra, kora lub też derka wełniana. Całość łatwo się daje przenosić. Mieszkania te są zwykle bardzo nizkie, tak że się wpełza do nich na czworakach i odpoczywa się tylko leżąco.

Inne ludy robią namioty z prosto stojących żerdzi, które związują sznurami i okrywają skórami. Takie budynki łatwiej przenosić, a prócz tego pozwalają one nadać wnętrzu większą wysokość, ztąd mieszkania większej części koczowniczych ludów mają kształt piramid albo kręgli.



Największe dyamenty. (Obacz objaśnienia rycin na str. 128.)

Wyższy stopień rozwoju pokazuje namiot u nomadów, używających do przykrycia go pilśni i niektórych tkanin. Wejście tworzy zwykle szpara w płótnie, a w bogatszych i paradniejszych mieszkaniach stoją na przodzie dwie żerdzie w kształcie słupów i podnoszą przykrycie, zostawiając otwór, który z wewnątrz zasłania firanka. Dym z ognia palącego się w namiocie wychodzi przez

okrągły otwór znajdujący się u wierzchu, gdzie się schodzą żerdzie tworzące namiot, światło przedziera się albo przez osobne otwory porobione w nakryciu, albo też tylko przez samo wejście.

Namioty mają również i nomadzi podbiegunowi: Eskimosy, Tunguzi, Lapończycy, szczególniej na letnie mieszkania. Najlepiej jednak i najzręczniej budują je Ostyacy. Dwie żerdzie łączą u wierzchu rzemieniem, wbijają w ziemię i o nie opierają inne żerdzie, tak że powstaje rusztowanie w kształcie kręgli. Zaraz na to rusztowanie kładą skóry włosem na wewnątrz. Druga pokrywa, włosem na zewnątrz, tworzy się z zszytych pasków skóry rena, które bardzo zręcznie układają przez obwijanie. Przy tem zajęciu biorą udział dwie osoby, które najprzód dwiema długiemi tyczkami podtrzymują oba końce mającego nałożyć się paska i w ten sposób podnoszą go blizko do wierzchołka ostrokręgu. Potem jeden z nich idzie wraz z swoją żerdzią naprzód, okrążając rusztowanie, dopóki futro nie ułoży się na niem ślimakowato ku dołowi. W ten sposób kładą się na sobie paski jak dachówki z zachodzącemi na siebie brzegami i bez żadnych wiązań czy rzemieni utrzymują się następnie własną swoją ciężkością; pokrycie to całemu budynkowi nadaje moc i trwałość.

Ale najbardziej udoskonalone namioty napotykamy u ludów pasterskich strefy umiarkowanej jak np. u Kałmuków i pokrewnych im szczepów mongolskich. Mieszkanie urządzają oni z prętów wierzbowych i pokryć pilśniowych, a pojedyńcze jego części łączą za pomocą krótko powiązanych rzemieni z surowej skóry. U bogatszych pokrycia pilśniowe, derki, są podwójne i zdobne w różnobarwne wzory, które umieją wyrabiać w pilśni sposobem sobie właściwym. Wnętrze ma stałe urządzenie, które ludy, na niższym stopniu kultury zostające, zupełnie pomijają. Naprzeciwko wejścia, przed łożem gospodarza znajduje się ognisko, samo łóżko pokrywają grube derki i poduszki safianowe z wezgłowiem z cienkiego juchtu, napełnionem wełną lub pierzem. Niekiedy i podłoga w namiocie wyłożona jest derkami i dywanami, a w takim razie ognisko, na którem się gotuje znajduje się w osobnym namiocie. Dla ogrzania zaś mieszkania służą miednice z węglem. Skrzynie i wory juchtowe, w których przechowuje się majątek, mają także swoje schowanie. Na lewo jest miejsce honorowe i łoża dla gości, tutaj znajdujemy częstokroć kunsztownie obrobione kołdry skórzane i płócienne, firanki jedwabne i bogate dywany, ale zarazem jako nieodłącznego towarzysza złe powietrze i o ile podobna największe nieochędóztwo. Dla ochrony przeciwko niepogodzie pokrywają te namioty z zewnątrz grubym pokładem mat a z wewnątrz delikatniejszemi pokryciami i plecionkami. Stoją one długo a przez krzepką swoją budowę tworzą niejako przejście do mieszkań stałych.

Stałe mieszkania powstały z dwóch przyczyn. Raz budowano je tam, gdzie przyroda dostarczała wszystkich środków wyżywienia łatwym sposobem i na jednem miejscu, a po drugie tam, gdzie mieszkanie ruchome nie mogło stawić dostatecznego oporu nieprzyjaznej częstokroć pogodzie i gdzie można było się spodziewać wrogich napadów sąsiedztwa. Miejsca, do których przystęp jest trudny, jaskinie, załomy skał i t. p., umacniano sztucznie, ażeby mieć pewne schronienie na czas częstych wojen z innemi pokoleniami.

Najstarszy sposób ufortyfikowania mieszkań polegał na tem, że wejscie stawiano nie na równej ziemi ale powyżej, tak że można się tam było dostać za pomocą drabin lub mostków. Gdzie natura miejsca na to pozwalała, budowano mieszkania nad powierzchnią wody i przez to utrzymywano największe, o ile możności bezpieczeństwo, zwłaszcza od napadu dzikich zwierząt. W ten sposób powstały budowle na palach, których resztki napotykamy nawet w Europie, w jeziorach Szwajcarskich, w Irlandzkich, w jeziorze Cieszewskiem i t. d. W r. 1853 i 1854 w skutek wielkiego braku wody, powierzchnia jeziora Zurich-

skiego opadła o 3 metry niżej do dotychczasowego najniższego swego stanu (1674). Wtedy to odkryto tak zwane budowle na palach, których resztki znaleziono wkrótce w jeziorze Genewskiem, Neuenburskiem, Sempachskiem i t. d. i to w wielkiej ilości; w Neuenburskiem 26, w Genewskiem 24 a w Bodeńskiem 16.

Budowle na palach, które napotykamy u najrozmaitszych narodów, mieszkających nad większemi wodami, u Oratów nad Eufratem, w Afryce Środkowej nad jeziorem Czad, u Papuasów w Nowej Gwinei, (co rzeczywiście wykazuje ich ogólne cywilizacyjne znaczenie) są poprostu resztkami palów wbitych w grunt jeziora, na których stoją lub stały mieszkania i wsie.

W Szwajcaryi znajdowano nie w jednej miejscowości często do 40,000 drewnianych słupów powbijanych blizko siebie, zawsze w miejscach płytkich, w pewnej odległości od brzegu, z którym były prawdopodobnie połączone za pomocą mostu. Domyślają się, że chaty składały się ze ścian koszykowej roboty, które pomazywano gliną, bo takie plecionki w resztkach dziś jeszcze znajdujemy.

Do budowania wszystkich tych rodzajów domów, które dotąd rozpatrywaliśmy, służyły produkta natury, łatwo obrobić się dające, jako to: liście, skóry, maty, żerdzie. Mieszkania te, stósownie do sposobu życia ludów, które w nich przebywają, służą głównie do wypoczynku na noc. Ale jeżeli zmiany pogody nie dozwalają na użycie owych lekkich materyałów, używają się także i ciężkie jak belki, glina, muł, kamienie a nawet lód i śnieg. Dla obrobienia tych materyałów człowiek wytęża swoją wynalazczość i wydoskonala zręczność. Twardość ich pozwala mu się rozpostrzeć i budować gmachy obok siebie i nad sobą, ażeby jak najekonomiczniej zużytkować ściany i dach. Ztąd powstają mieszkania złożone, a budownictwo zaczyna się rozwijać jako samodzielny rodzaj sztuki.

Najprostszym i najłatwiejszym do obrobienia materyałem jest glina, znajdująca się prawie wszędzie, a w krajach gorących najodpowiedniejsza do zbudowania trwałych mieszkań.

Eskimosowie, mieszkający latem w namiotach, budują na zimę chaty w śniegu nadzwyczaj zręcznie. Na rzece, gdzie śniegu należycie zbitego było na $^2/_3$ metra głębokości, wystawił jeden Eskimos, który towarzyszył Franklinowi w jego podróży, w bardzo krótkim przeciągu czasu, prawdziwe arcydzieło tego rodzaju. Przedewszystkiem zakreślił koło mające 4 metry średnicy. Potem śnieg znajdujący się w tym kręgu podzielił szerokim a długim nożem na kawałki, które były tak spójne, że można je było bez uszkodzenia wyjmować. Kawałki te, jakby połupane kamienie, kładł jeden na drugim i nożem wygładzał nierówności i tak je przekrawał, że ściana przybrała łagodną pochyłość ku wewnątrz i kształt kopuły. Wyższe części budynku układał klinowato a całość kończyła się ostatnim klinowatym kawałem. Kiedy dom był już gotów, posypał go miększym śniegiem, ażeby wszystkie szparki wypełnić, a w ścianie za pomocą noża drzwi nizkie wyrznął. Nawet okno zamknięte przejrzystą szybą lodu urządził w tym budynku, który w skutek czystości materyału i szykowności w jego użyciu przedstawiał się jakby utwór z marmuru. Ale zupełnie dokładnie urządzone mieszkanie Eskimosa na zimę składa się z kilku komór, połączonych z sobą chodnikami; a z otwartą przestrzenią długiem niskiem przejściem, przez które dostaje się wewnątrz powietrze.

Takie to są początkowe próby mieszkań, które z postępem oświaty stają się coraz sztuczniejsze, coraz piękniejsze, przybierają w budowie swojej rozmaite kierunki, które stylami nazywamy, i wywierają równie wielki wpływ jak mowa i pismo na ogólny rozwój ludzkości. W zamiłowaniu, jakie człowiek dla mieszkania swego okazuje, w miłości własnego ogniska, widzimy bardzo wybitną cechę jego wykształcenia moralnego. Ztąd można zrobić uwagę, że im oświeceńszy

jest naród, tem lepiej i wygodniej jednostki mieszkają.

Jednym z najpierwszych względów, jakimi kieruje się człowiek wyżej w oświacie posunięty co do budowy mieszkań, jest przedewszystkiem zdrowie. Obfite światło, świeże powietrze, usunięcie szkodliwych wyziewów, blizkość czystej, płynącej wody i najważniejszych pokarmów dobrego gatunku, wpływają na wybór miejsca zamieszkania. I skoro ludy przejdą pewien okres, w którym skupiają się w pewnych tylko miejscowościach i wielkich miastach, to pomimo wielkich dostatków i bogactw z przyjemnością wracają do swobodniejszego życia na łonie świeżej, zielonej natury.

Grecy, naród wysoko wykształcony, nie posiadali domów w szlachetniejszem znaczeniu, jakie my temu pojęciu nadajemy; dla nich żona była wychowawczynią dzieci, utrzymującą w porządku gospodarstwo domowe, ale nie była, chyba wyjątkowo, równouprawnioną towarzyszką mężczyzny. Jakkolwiek Grecy w budownictwie wyborny smak okazali, jakkolwiek domy swoje przystrajali bar dzo szlachetnie i gustownie, brak im przecież charakteru mieszkalnego. Grek, nawet najbardziej wykształcony, żył życiem publicznem, życiem mężczyzn wśród mężczyzn, które w skutek różnorodnych zajęć i zmieniających się co chwila wypadków politycznych wyczerpywało całe jego myślenie i czucie.

Inaczej było u Rzymian. Chociaż zajęcia państwowe zmuszały i tu obywatela do przepędzania większej części dnia na forum, to jednakże przy coraz bardziej rosnącej wielkości państwa zaszedł w biegu rzeczy pewien zastój, który zapewniał powodzenie nie co dzień zmieniającej się przypadkowości, ale dobrze i obszernie obmyślanym planom. Sztuka i nauka nie były przedmiotem ogólnego zajęcia; Rzymianin kształcił się więcej sam, gdy tymczasem Grek we wzajemnej rozmowie wyjaśniał swoje wyobrażenia i smak oczyszczał.

Już przez to dla Rzymianina dom miał większe znaczenie. Udział w polityce wywołał klientelę, która mieszkania patrycyuszów zamieniała na miejsca zabrań dla stronnictw. Jeżeli dodamy do tego mniej przyjazny klimat, który nad odwiecznym Rzymem nie zawiesił ciągle błękitnego nieba Grecyi, to będziemy mieli główniejsze przyczyny, w skutek których mieszkania w Rzymie otrzymały ważniejsze powołanie niż w szczęśliwej Helladzie.

Oczywiście przepych i rozrzutność w skutek nagromadzenia się bogactw w Rzymie wpłynęły przeważnie i na urządzenie mieszkań, chociaż pod tym względem mniej było zbytku aniżeli w nasyceniu podniebienia, o czem historycy z czasów cesarstwa tyle szczegółów, niepodobnych nieraz do wiary, przekazali.

(Dok. nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Największe dyamenty. Największy z nich został wydobyty 30-go Czerwca 1893 r. z kopalni Jagersfontein w republice afrykańskiej Oranje. Nazwano go Excelsior. Jest on bladawo-niebieski, waży 971$^3/_4$ karatów (1 karat znaczy mniej więcej tyle, co 20 centygramów). Wartość jego szacują na 10 mil. marek).

Drugim z rzędu dyamentem jest Regent, który należał do francuskiego skarbu rządowego. Waży 136 karatów a ma wartości około 10 mil. marek.

Po nim następuje dyament zwany Kohinoor (góra światłości). Dawniej ważył on 793 karatów, lecz po oszlifowaniu waży tylko 106. Należy do skarbu angielskiego.

Następnie posiada Rosya dyament, zwany Orłów, ważący 194 karatów, a Brazylia dyament, zwany gwiazdą południa, o 125 karatach wagi.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Różnica między inteligencyą mrówki a człowieka.

Wiele już mówiono i pisano o inteligencyi mrówki; między innemi John Lubbock rozmaite czynił z niemi w tej mierze doświadczenia, z których najważniejszym rezultatem było dostrzeżenie różnic indywidualnych usposobień. Wielu pisało o dowodach wzajemnego przywiązania mrówek między sobą, a za przykład przytaczano, że kiedy mrówkę przypadkiem ziemia zasypie, inne przychodzą jej zaraz w pomoc. Lubbok jednak zauważył, że mrówki w ogóle lubią grzebać w ziemi świeżo poruszanej i wydrążać nowe galerye, gdy im mrowisko popsują. Chodziło więc o to, żeby się przekonać, czy grzebanie mrówek w ziemi pochodzi z nałogu, czy z chęci przyjścia w pomoc towarzyszce. Szereg doświadczeń w tym celu dokonanych wykazał, że los uwięzionych towarzyszek nie budzi w mrówkach współczucia, ale zato obecność mrówek innego gatunku pobudza je do wściekłości; to ostatnie zatem uczucie przeważa u nich nad czułością. Oprócz tego Lubbok po wielekroć zanurzył mrówki w wodzie a raz tylko dostrzegł, że druga mrówka przyszła tonącej na ratunek.

Nadto badacz angielski twierdzi, że nigdy nie widział żadnej sprzeczki w jednem mrowisku, żadnej oznaki złego humoru; owszem panuje w nich doskonała harmonia. A zdarzają się przykłady wzajemnego współczucia. W jednem mrowisku znajdowała się mrówka, która przyszła na świat bez macek. Lubbock obserwował ją z wielkiem zajęciem. Zdawało się, że mrówka kaleka nigdy nie opuszcza mrowiska, ale nareszcie pewnego dnia ujrzał ją poza jego obrębem; błądziła, jakby nie wiedząc, gdzie idzie. Wtem napotkała kilka mrówek z innego gatunku, które odrazu rzuciły się na nią. Lubbock chciał je rozdzielić, lecz nim to zdołał uczynić, napastnicy tak się z nią obeszli, że leżała nieruchoma. W jakiś czas potem nadeszła mrówka z tego samego, co ona mrowiska; obejrzała ją uważnie, zabrała i zaniosła do mrowiska. Lubbok przytacza wiele innych podobnych wypadków.

Wyczytawszy w studyach Lubbocka o mrówkach tyle przykładów ich prac, przemysłu, kombinacyi, namiętności nawet, przedstawiających tak wielkie podobieństwo z inteligencyą ludzką, mimowolnie nasuwa się pytanie, czy w tem wszystkiem niema czegoś ubliżającego człowiekowi? Naturalista angielski zdaje się mieć to przekonanie i w pokorze ducha oświadcza, iż między jego inteligencyą a inteligencyą mrówki zachodzi różnica tylko pod względem ilości, a nie pod względem jakości. My, dumniejsi, wolimy poświadczyć: Inteligencya człowieka ma cechy podniosłe, których najbardziej wyrafinowany instynkt zwierzęcy nie posiada; cechuje ją zdolność do postępu i do twierdzenia pojęć oderwanych. Mrówka Lubbocka z pewnością nie posunęła się ani o jeden stopień dalej jak mrówka minionych czasów i po upływie wieków nie postąpi dalej. Przyznawać jej umysłowi naturę filozoficzną, jest to zbytek szczodrobliwości. W końcu uważam za stósowne podnieść tutaj jedno twierdzenie angielskiego naturalisty; powiada on, że mrówka, ze względu na swoje przymioty, bliżej stoi człowieka niż małpy. Ja powiem raczej: ani bliżej, ani dalej, gdyż pierwiastek Boski, który nas rozdziela, mierzyć się nie da.

Praktyczne rady.

— **Nowy sposób wyrobu chleba** wprowadził p. Berndt, inżynier w Berlinie; nowość polega na tem, że całe ziarno ze wszystkiemi częściami składowemi, oczyszczone i rozmiękczone przez gniecenie i walcowanie, wprost zarabia się na ciasto, bez poprzedniej zamiany w mąkę. Chemik dr. Bischoff uważa ten sposób za korzystniejszy od dotychczasowego, gdyż w ten sposób przygotowany chleb ma być pożywniejszy i strawniejszy.

— **Lekarstwo na febrę.** Polecamy następujący środek na febrę, nader skuteczny i używany jeszcze przez Rzymian, którzy zamieszkiwali okolicę bagien pontyńskich. Wycisnąć sok ze szczawiu i zmięszać go do połowy z białem winem w dobrym gatunku. W razie zasłabnięcia pije się rano i wieczór po małym kieliszku tego płynu, a najupartsza febra ustąpi. Im starsza jest ta mięszanina, tem skuteczniej sza.

— **Czyszczenie mebli.** Sprzęty polityrowane najlepiej czyścić naftą nieco rozgrzaną, w której trzeba rozpuścić piątą część jej wagi białego wosku ziemnego. Po ostygnięciu wyciąga się mocno meble tą mięszaniną za pomocą kawałka flaneli; drzewo takiego nabiera połysku, jak gdyby świeżo zostało polityrowanem.

— **Utrwalanie kwiatów.** W piśmie »Wszechświat« dr. Szyszyłowicz podaje następujący sposób utrzymania kwiatów przy życiu z zachowaniem właściwych im barw i kształtów. W płaskim a szerokim słoju rozpuszcza się naftalin w benzynie aż do jej nasycenia i w ten płyn wrzuca się świeże kwiaty, na kilka lub kilkanaście sekund. Po wyjęciu cały kwiat, w skutek szybkiego ulatniania się benzyny, pokrywa się tysiącem drobnych kryształków naftalinu, które nikną w przeciągu 12 godzin. Po wyjęciu trzeba położyć kwiaty na papierze, albo zawiesić na nitce, stósownie do ich budowy, a skoro wyschną, będą miały zdumiewający pozór świeżości. Płatki pozlepiane należy ostrożnie porozdzielać. Najlepiej dają się w ten sposób konserwować kwiaty bardzo delikatne, jak fiołki, azalee, akacye. Kwiaty o grubszych płatkach należy dłużej trzymać w roztworze, kwiaty zaś o grubych płatkach, jak n. p. lilie białe, wiele tracą na piękności. Barwy: żółta, niebieska i czerwona nie ulegają

żadnej zmianie, biała zaś staje się brudną i ciemną. Trzeba przy tej operacyi unikać ognia, żeby nie wywołać wybuchu.

Rozmaitości.

* **Bambusowe organy.** W kościele w Szangai poświęcone zostały niedawno organy, wykonane przez jednego z zakonników chińskich. Piszczałki tego instrumentu nie są zrobione z metalu, lecz z bambusu, a dźwięk ich ma być niesłychanie piękny i melodyjny Oprócz tej wielkiej zalety mają organy bambusowe jeszcze inną, a mianowicie są o dwie trzecie tańsze, niż używane w Europie organy metalowe.

* **Maszynę elektryczną do czyszczenia obuwia** wynaleziono w Ameryce, gdzie, jak wiadomo, do tej pory czynności tej dokonywali chłopcy na ulicach. Niedawno w Brooklynie zaczęła funkcyonować po raz pierwszy maszyna elektryczna do czyszczenia obuwia, której urządzenie jest następujące: Niewielka skrzynia ma otwory, w które można wstawić nogę. Czernidło zaczyna automatycznie kapać na skórę obuwia, a następnie zaczynają działać owalne szczotki, poruszane siłą elektryczności. Do dobrego oczyszczenia obuwia wystarcza minuta czasu.

* **Leon XIII** obchodził jak wiadomo dnia 3-go Marca br. 17-tą rocznicę swej koronacyi. Oprócz papieża Piusa XI, który pierwszy i jedyny ze wszystkich papieży sterował dłużej nawą Kościoła św. niż sam św. Piotr, było tylko 15 papieży, którzy co najmniej przez lat 17 zasiadali na Stolicy papiezkiej a mianowicie: Pius IX lat 31, św. Piotr 25, Pius IV 24, Adryan I 23, Pius VII 23, Sylwester I 22, Aleksander III 21, Leon I 21, Leon III 20, Urban VIII 20, Klemens XI 20, Damazy 18, Paschalis I 18, Jan XXII 18, Zefiryn 18, Innocenty III 17, Benedykt XIV 17. Ksiądz Kneipp przepowiedział, że Ojciec św. Leon XIII może dożyć początku nowego wieku, miejmy w Bogu nadzieję, że Ojciec św. nie tylko dożyje początku nowego wieku, ale i pożyje jeszcze dłużej na pożytek kościoła świętego i wiernych.

* **Skarb króla egipskiego** Usurtasena II odkryty został, jak donoszą pisma rzymskie, w jednej z piramid w Daszur pod Sakkarą, dzięki zabiegom dyrektora egipskich robót wykopaliskowych. Pomimo kilkakrotnych daremnych prób dyrektor kazał prowadzić dalej roboty około odszukania podziemnego wejścia do piramid. Jakoż nakoniec usiłowania te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem i w bezpośredniem otoczeniu piramidy, 25 stop pod ziemią, odkryto wejścia prowadzące do jej wnętrza. Korytarz podziemny ma 80 metrów długości. Najpierw znaleziono w piramidzie 15 mumii wysokich urzędników, które pochodzą z epoki dwunastej dynastyi Faraonów (2800 lat przed nar. Chrystusa). Dalsze poszukiwania doprowadziły do odkrycia mumii króla Usurtasena II, który wybudował piramidę. Nadto w celi króla znaleziono cały skarb wyrobu egipskiego przemysłu artystycznego i cennych klejnotów. Między innemi wydobyto z podziemi grobowych tarczę ze szczerego złota, nader kunstownej roboty, z monogramem króla Usurtasena II, wysadzoną kosztownymi kamieniami; wielką liczbę chrząszczów z ametystu, mnóstwo złotych kolczyków, szmaragdy, perły, złote szpilki i bransoletki, ozdoby z lapislazuli, ametystu i korali, złote zameczki naszyjników, zrobione w kształcie kwiatu lotosu, kosztowne zwierciadła, szpony tygrysie ze złota, w złoto oprawne książki i t. d. Skarby te przeniesione będą do muzeum w Gizeh, gdzie część ich jest już umieszczona.

* **Jak dawno uprawiają gospodarze koniczynę?** Koniczyna znaną była w XVI wieku w Hiszpanii, ztamtąd sprowadzono ją do Belgii, a przez Wallonów rozpowszechniła się nad Renem. W Niemczech zaczęto ją uprawiać systematycznie dopiero przy końcu XVIII wieku.

* **Pomarańcze włoskie i cytryny.** W niektórych okolicach Włoch drzewa pomarańczowe i cytrynowe tworzą literalnie lasy; owoce ich przynoszą rocznie dochodu w całym państwie przeszło 30 milionów lirów. Lasy pomarańcz i cytryn najczęściej trafiają się w Sycylii, Reggio, w okolicach Neapolu i Sardynii. W Sycylii pierwsze miejsce pod względem hodowli pomarańcz zajmuje okręg Palermo.

Drzewa pomarańczowe, rosnące w ziemi piaszczystej, wydają owoce wcześniejsze, niż rosnące na gruntach gliniastych. Owoce, zebrane w listopadzie, leżą przez trzy dni na otwartem powietrzu, osłonięte tylko płótnem żaglowem. Następnie każdą pomarańcz, zawiniętą oddzielnie w papier, pakują w duże pudła i odwożą do Messyny. Tam kupcy starannie rewidują je, zawijają w inne papiery i wysyłają do miejsc przeznaczenia Niektórzy kupcy do sortowania owoców trzymają po kilkuset robotników.

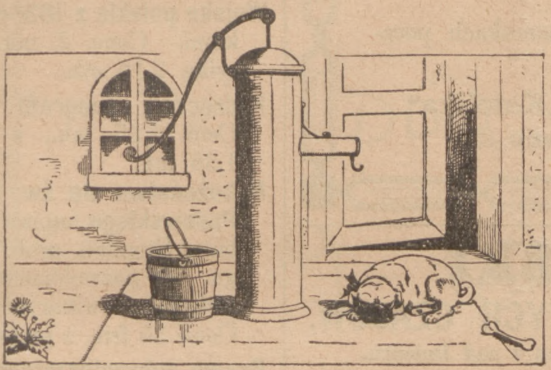
Owoce najlepiej zakonserwowane wysyłają do Stanów Zjednoczonych. Najbardziej rozpowszechniony gatunek drzewa cytrynowego, hodowanego w Sycylii, wydaje jednocześnie kwiaty i owoce. Nazywa się »Lunare«. Cytryny w Sycylii zbierają trzy razy na rok: w Listopadzie, Grudniu i Kwietniu. Oprócz zwyczajnych, hodują w Sycylii cytryny bez pestek; dojrzewają one w Czerwcu, a niepogody i owady nie wyrządzają im żadnej szkody. Za najlepsze uważane są cytryny korsykańskie.

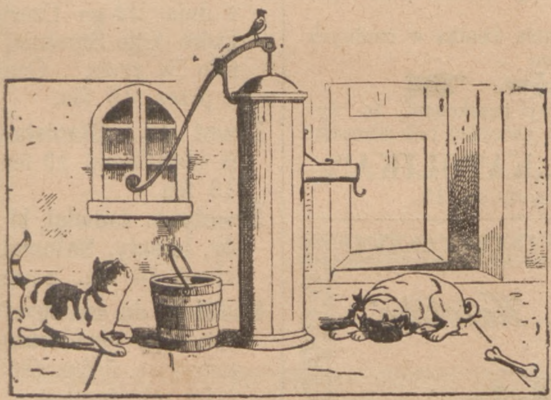
* **Legenda o rzece Warcie.** W okolicy Kromowa krąży ciekawe podanie o powstaniu rzeki Warty. Dawnymi czasy w miejscu, gdzie dziś jest kapliczka św. Jana, stał żołnierz na warcie. Gorąco było niesłychane, żołnierz prawie umierał z pragnienia, a ruszyć się z miejsca nie było mu wolno. Zaczął więc modlić się gorąco do swego patrona, św. Jana, aby mu zesłał choć odrobinę wody na orzeźwienie. Gdy skończył modlitwę, źródło wytrysło z pod stóp żołnierza. Źródło to na pamiątkę owego cudu nazwano »Wartę«.

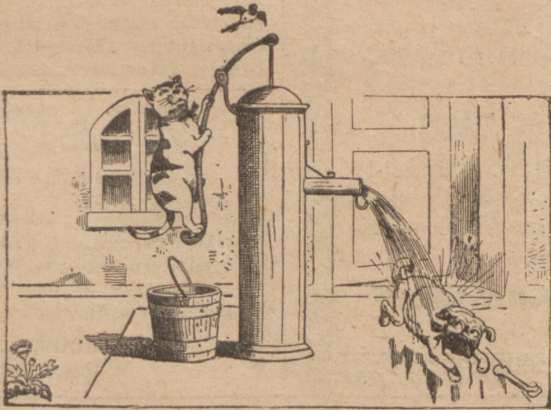
* **Żydzi w Chinach.** W mieście Kaifungfu, w prowincyi Honan, znajdowała się przed paroma stuleciami liczna bardzo kolonia żydowska. Obecnie istnieje tu już tylko 6 rodzin żydowskich, których nazwiska brzmią: Kao, Tschao, Ai, Li, Schih, i Tschin. Liczą one razem około 300 głów. Niektórzy z nich posiadają dotąd wybitny typ żydowski. O dawnej religii swojej nic już dziś nie wiedzą, jakkolwiek zaś przemieszkują około miejsca głównej niegdyś swojej synagogi, nie mają żadnej świątyni. Uprawiają przeważnie rzemiosła: krawiectwo, szewstwo i garncarstwo.

* **Ciężar miliarda.** Ciekawą odpowiedź na pytanie: wiele waży miliard? podaje jedno z pism francuskich, z którego tę wiadomość czerpiemy. Miliard w srebrze waży pięć milionów kilogramów, w złocie 322.580 kilogramów, w biletach tysiącfrankowych banku francuskiego 1780 kilogr., w biletach stufrankowych 41.500 kilogr. Przenosząc miliard, jeżeli przyjmiemy, że średnio każdy człowiek może unieść ciężar, równający się 100 kilogramom, potrzeba do przeniesienia w biletach 1000 fr. 18 ludzi, w biletach 100 frankowych 115 ludzi, w złocie 3225, a w srebrze 50.000 ludzi. Nakoniec miliard w biletach 1000 fr. mógłby utworzyć bibliotekę z 2000 dzieł, każde po 500 stronic.

Przerwana drzemka.







ŻARTY.

To co innego!

Pierwszy pomocnik bankowy: Wystaw pan sobie, nasz kasyer uciekł dziś w nocy, zabrawszy 20 tysięcy marek z kasy banku!

Drugi pomocnik: A to ci się sprawił dowcipnie!

Pierwszy pomocnik: Pański parasol, któryś pan wczoraj zostawił w biurze, zabrał także.

Drugi pomocnik: A to podłość!

Boi się wody!

Icek: Jainkef, czegi ty trzymasz a palec w tegi wode?

Jainkef: Nu, doktór mi zapisał, co ja potrzebuję brać kąpiele, — to ja sze pomału do wody przizwyczaję.

Sumienny żebrak.

Pani: Jałmużny odemnie nie dostaniecie żadnej, ale mam pracę dla was, to możecie sobie co zarobić...

Żebrak: Dziękuję, nie mogę pracy przyjąć, gdyż w takim razie musiałbym zaniechać odwiedzenia mych stałych dobrodziejów...

W kawiarni.

Gość (pijąc kawę): Hm, wasza kawa ma jednę zaletę i jednę wadę..

Kelner: Jakto, proszę pana?

Gość: Zaleta jej polega na tem, że nie ma w niej cykoryi, a wada — że nie ma w niej kawy!

Przysłowia i zdania.

Prawdy a żartów używaj jak soli,
Kto miary nie zna, ten prędko przesoli.

Rzadko prawda z tym zasiada,
Kto rad wiele nowin gada.

Szpetne przy pięknem szpetniejsze,
Piękne przy szpetnem piękniejsze.

Zapóźno szczędzić już wina,
Gdy beczka dzwonić zaczyna.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.